

# Stanisław Zieliński

---

## Świadek zbrodni katyńskiej

---

Niepodległość i Pamięć 2/3 (4), 193-196

---

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław Zieliński

## Świadek zbrodni katyńskiej

**Bogusław Zaleski** (1899-1981), inżynier rolnik, pozostawił obszerne wspomnienia opatrzone licznymi fotografiami. Składa się na nie kilkadziesiąt opisów z życia autora: o rodzenie, dzieciństwie, nauce, pracy zawodowej, przygodach myśliwskich, przyjaciółach itd. Każdy taki opis osłonięty jest obwolutą wykonaną ze złożonego w połowie arkusza formatu A-4, na którym jest kolejny numer i tytuł.

Po śmierci autora dwutomowy maszynopis wspomnień nabyła od wdowy, Gabrieli z Jeleńskich Zaleskiej, Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, gdzie jest przechowywany w dziale rękopisów pod tymczasową sygnaturą 137/83.

Byłem pierwszym czytelnikiem wspomnień w Ossolińskiej Bibliotece. Zaintrygował mnie rozdział 38 w tomie drugim pod tytułem *Za uratowanie życia*, zawierający relację oficera Armii Czerwonej z pobytu w Katyniu wiosną 1940 roku. Zdał on ją lekarzowi w szpitalu jenieckim w Niemczech, z wdzięczności za wyleczenie, a ten z kolei przekazał autorowi wspomnień, także jeńcowi w Woldenbergu. Nazwisko owego lekarza, pochodzącego z Wilna, które autor wołał pozostawić tylko pod inicjałem S., nie powinno być trudne do rozszyfrowania przez historyków Oflagu, mającego obszerną literaturę przedmiotu.

Relacja ta, chociaż pośrednia, nosi wszelkie cechy wiarygodności i zasługuje na szersze rozpowszechnienie. Stanowi ona fragment wspomnianego wyżej rozdziału od s. 289 do 294.

\*\*\*

W 1941 roku ukończyłem kilkutygodniowy kurs robienia masażu i stale chodziłem parę razy na tydzień do izby chorych, żeby robić tam, zgodnie z zaleceniami lekarzy, masaż chorym kolegom.

Jednym z lekarzy był doktor S. Pochodził on z Wilna.

Przed wojną specjalizował się w operowaniu wyrostka robaczkowego. Często, gdy już kończyłem masaż, zapraszał mnie do siebie na szklankę obozowej kawy.

Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Doktor zajmował mały pokój na końcu korytarza, którego kilkoro drzwi prowadziło do pomieszczeń przeznaczonych dla chorych. Dużo ciekawych rozmów przeprowadziliśmy przy tej kawie. Kiedyś doktor powiedział mi, że Niemcy mają go przenieść do innego obozu.

Żegnałem go z prawdziwym żalem.

Minęło kilka miesięcy. W marcu, czy też kwietniu 1943 roku dowiedziałem się, że doktor S. powrócił do naszego obozu. Ucieszyłem się bardzo. W czasie którejś z moich kolejnych wizyt w izbie chorych spotkaliśmy się i doktor zaprosił mnie, tak jak dawniej, na kawę. Opowiedział mi, że spędził te kilka miesięcy w szpitalu, do którego przywozili jeńców chorych na zapalenie wyrostka robaczkowego i że robił po kilka operacji dziennie.

- Przywozili tam jeńców z różnych obozów - mówił doktor - i różnej narodowości. Operowałem Amerykanów, Anglików, Francuzów, Włochów, Jugosłowian, Polaków i Rosjan. Porobiłem ciekawe obserwacje, dotyczące wytrzymałości organizmów poszczególnych narodów. Największą śmiertelność stwierdziłem u Francuzów. Najzdrowsi i najbardziej odporni są Serbowie i my. Rzadko mi się zdarzało, żeby któryś z Polaków umarł po operacji.

- A jak Rosjanie? - zapytałem.

- Przywozili ich zwykle w stanie bardzo ciężkim - odparł doktor - często już z pękniętym wyrostkiem i z ropą rozlaną wewnątrz. Trudno ich było w takim stanie operować i leczyć.

- Obiecaj mi - powiedział doktor po chwili namysłu - że nie powiesz nikomu, od kogo masz tę wiadomość, a opowiem ci dziwną i straszną historię, która mi się przytrafiła.

Oczywiście, że obiecałem.

Oto, co usłyszałem.

Przywieźli mi parę miesięcy temu młodego leutanta rosyjskiego z jakiegoś obozu jeńckiego. Miał bardzo silną gorączkę. Po zbadaniu okazało się, że ma zapalenie wyrostka robaczkowego. Gdy go kładli na stół operacyjny, mówił, że tak bardzo chciałby żyć i błagał mnie o uratowanie go. Gdy go uspili, zabrałem się do operacji. Stan chorego był fatalny! Nie będę ci opisywał szczegółów, bo nie o to chodzi. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, aby go uratować, ale mało miałem nadzici, że mi się to uda. Francuz na jego miejscu umarłby na pewno, a on wyzdrowiał! Był wprawdzie jeszcze bardzo młody i silny. Chciałem go koniecznie uratować. Trzymałem go w szpitalu pod rozmaitymi pozorami tak długo, jak tylko mogłem. Stosowałem lekarstwa i środki wzmacniające, z których tylko Niemcy mieli prawo korzystać. Wreszcie odstępować mu część swojej racji żywnościowej.

Polubiłem go i dumny byłem z tego, że mi się udało wyleczyć go. On wiedział o tym, że zawdzięcza mi życie i kilkakrotnie gorąco mi dziękował.

Przyszedł wreszcie czas, gdy jednak musiał opuścić szpital. Żegnając się ze mną powiedział, że chciałby mi się czymś odwdzińczyć, ale niestety nie ma nic do ofiarowania. Ale za uratowanie życia chce mi przekazać pewną tajemnicę, która na pewno ważna będzie dla mnie, jako Polaka.

Zabrałem go do mojego małego pokoiku, w którym mieszkałem razem z kolegą. Dałem mu szklankę kawy, tak jak tobie dzisiaj. Kolega mój był na dyżurze przy chorych.

Siedzieliśmy na pryczy obok siebie. Był już wieczór. Promienie zachodzącego słońca padały na twarz chłopca. Patrzyłem na niego z przyjemnością. Miał piękną młodą twarz o męskim już wyrazie. Szare oczy uważnie patrzyły na mnie. Zaczął mówić. Opowiadanie trwało długo. Zaczął od tego, skąd pochodzi.

- Rodzina moja - mówił - spod Smoleńska pochodzi.

Ojciec miał przed rewolucją własny małeńki chutor, dwadzieścia dziesięcin. Matka i ojciec mówili, że dobrze nam było żyć. Ja najmłodszy byłem. Miałem jeszcze dwóch braci i siostrę. Po rewolucji jeszcze przez parę lat nieźle się żyło, potem było coraz gorzej. Na koniec ziemię nam do kolchozu zabrali. Nikt w kolchozie dobrze pracować nie chciał, wiadomo, jak na cudzym! Z roku na rok była coraz większa bieda. Siostra moja wyszła za męża za robotnika, który mieszkał w Smoleńsku. Rodzice posłali mnie do niej i tam chodziłem do szkoły. Potem wstąpiłem do szkoły oficerskiej. Ukończyłem ją z odznaczeniem w roku 1939. Przydzielili mnie wtedy do pułku piechoty, który stał w Smoleńsku. Polubiłem służbę wojskową. Nasz dowódca pułku był rozumny i ludzki człowiek.

Wczesną wiosną roku 1940 mój batalion wysłany został pod Smoleńsk, w okolicę wsi Katyń. W lesie wybudowano tam baraki. Kilka z nich zajął nasz batalion, a inne - bataliony NKWD. Cały las był otoczony płotami z drutu kolczastego. Nasz batalion zaczął pełnić służbę wartowniczą w obozie i wzdłuż murów. Nie wolno było, pod groźbą surowych kar, nikogo ani wypuścić, ani wpuścić do obozu. W bramie była wartownia, której pilnowali żołnierze NKWD. Tak przeszło kilka dni. Nie wiedzieliśmy, po co tu stoimy. W lesie kazano nam kopać długie, głębokie rowy.

W marcu, nie pamiętam daty, zaczęły przychodzić na stację pociągi, w których przywozili oficerów polskich. W każdym pociągu było ponad dwadzieścia wagonów, w tym parę wagonów konwoju. Polscy oficerowie byli załadowani do wagonów krytych, takich jak do przewożenia bydła, po 40 czy 50 w każdym. Wagony były zamknięte i zaplombowane. Pociągi stawały koło rampy.

Po przyjeździe pociągu otaczał go oddział NKWD. Kolejno, do każdego wagonu, podjeżdżał tyłem kryty samochód ciężarowy, wtedy otwierano drzwi wagonu i oficerów wyganiało do samochodów. Następnie samochody z oficerami eskortowane były przez NKWD. Część enkawudzistów siedziała wewnątrz samochodu, a inni jechali obok na motocyklach. Wszyscy wjeżdżali przez bramę obozu. Tam oficerów wyganiało z samochodów, pędzili na brzeg wykopanych rowów i tam ich zabijali, strzelając z rewolwerów i pepesz.

Widziałem z daleka, że wielu oficerów miało powiązane ręce, ale nie wiem czy wszyscy. W rowach układali trupy oficerów w kilku warstwach. Jedną na drugiej. Jak już wszystkich pozabijali, wtedy enkawudziści sami zasypywali rowy, a na wierzchu sadzili małe sosenki, sypali igliwie i kładli mech. Moi żołnierze mówili, że byli to nie tylko oficerowie, że widzieli ludzi w cywilnych ubraniach, których też zabijano. Straszno było nawet myśleć o tym, co się dzieje!

- Patrzyłem z przerażeniem na leutenaanta. W pokoju robiło się coraz ciemniej. Rysy jego twarzy zacierały się coraz bardziej, potem widziałem już tylko jego sylwetkę, która dosyć wyraźnie odbijała się na tle ściany. A on mówił i mówił.

Transporty przychodziły zwykle co parę dni. Czasem cztery i pięć dni nie było żadnych transportów i wtedy jakoś łżej nam się robiło. Myśleliśmy, że to już były ostatnie.

W moim batalionie żołnierze opowiadali sobie różne szczegóły o egzekucji. Mówili, że większość oficerów szła spokojnie na śmierć. Ale niektórzy coś krzyczeli. Widocznie jeden drugiemu potrafił rozwiązać ręce, bo niektórzy grozili enkawudzistom pięściami. Bywały wypadki, że rzucali się na oprawców, żeby im wyrwać broń. Opowiadano, że zginęło kilku

żołnierzy NKWD. Po którymś transporcie sam widziałem, jak enkawudziści z psami szukali kogoś w lesie. Żołnierze mówili, że paru Polakom udało się uciec. Wiem, że szukano kogoś w okolicy Katynia.

Strach nas ogarniał! A tu trzeba było kopać coraz to nowe i nowe rowy. Nie wiem, ilu Polaków leży zakopanych w Katyńskim lasku.

W kwietniu jakoś dostałem silnej gorączki. Po paru dniach nasz doktor batalionowy stwierdził tyfus. Odesłali mnie gdzieś pod Moskwę do szpitala. Ciężko byłem chory, ale wyzdrowiałem i potem dostałem urlop. Wysłali mnie na Krym, żebym nabrał sił. Chyba w lipcu dopiero zameldowałem się w pułku u dowódcy.

Po rozmowie ze mną powiedział:

- Jeżeli chcesz żyć, zapomnij, że służyłeś kiedyś w pierwszym batalionie! Zapomnij, że byliście w Katyńskim lasku! Zapomnij o tym, co widziałeś!

Przydzielony zostałem do innego batalionu.

Nie wiem, może tam leżą moi żołnierze w Katyńskim lasku, obok polskich oficerów...

W rok potem zaczęła się wojna. Jesienią w bitwie pod Wiaźmą dostałem się do niewoli niemieckiej.

- Leutenant zamilkł. Było już ciemno. Ja też nic nie mówiłem. Zgroza, rozpacz i płacz wzbierały mi w piersi. Wiedziałem, czułem, że leutenant mówił prawdę.

Doktor skończył opowiadanie.

Pożegnałem go i wyszedłem jak błędny.

Trudno mi było ocenić rozmiary klęski. Nie mogłem zrozumieć, jakie były powody zbrodni.

I nigdy, nigdy nie przebaczę mordercom!

Zawsze do końca dni moich słyszeć będę słowa wieszczka:

"Jeżeli zapomnę o nich, Ty Boże na niebie zapomnij o mnie!".